Jarosław Ławski
Katedra Badań Filologicznych
„Wschód – Zachód"
Uniwersytet w Białymstoku

ORCID 0000-0002-1167-5041

WYWÓZ NASZEJ INTELIGENCYI – DIAGNOZA ZACHODU, OBRAZ AUTORA, FATALIZM PROCESU

Dla wielu politycznych kółek i pisarzy
Bajka ta zrozumiała i bez komentarzy.

Włodzimierz Wysocki, *Lis i wół*[1]

Czy tak być musi?

To jedna z najprzenikliwszych diagnoz XIX wieku: artykuł Aleksandra Świętochowskiego *Wywóz naszej inteligencyi*[2]. Ukazał się w 1874 roku w „Przeglądzie Tygodniowym", w szczytowym momencie programotwórczego rozmachu trybuny pozytywistów warszawskich. Jest zaś – bezprecedensową manifestacją bezsilności. Świętochowski, tak ostry w formułowaniu diagnoz i przepisywaniu oświeconych rad, pozytywistycznych „medykamentów" na wszelakie społeczne choroby, tym razem kończy kasandrycznie:

„Stąd też w czasie, kiedy naszą inteligencją Europa jest gęsto posiana, u nas w kraju na palcach jej przedstawicieli wyliczyć by można, kiedy niemieckie *Zeitszrifty* obładowane są pracami polskich uczonych, w Warszawie nie znalazłoby się dość sił dla wydawania jednego większego naukowego pisma. Co na tym traci literatura, kraj cały – pojąć łatwo.

Tu czytelnik spyta nas zapewne, co taki stan rzeczy zmienić by mogło? Odpowiemy krótko: żaden środek leżący w zakresie dziennikarskich rad i pojedynczych usiłowań. Jest to j a k f a t a l i z m n i e u n i k n i o n a k o n i e c z n o ś ć, której tylko z boleścią przypatrywać się można, ale nic zaradzić niepodobna. Lekarstwo na nią jest ponad nami" (W).

Co takiego rozpoznał ten prorok siły rozumu w materii życia społecznego Polaków (i szerzej: Środkowoeuropejczyków), że i publicystyczna muza zawodzi Po-

[1] W. Wysocki, *Lis i wół*, [w:] tegoż, *Poematy, liryka, satyra*, red. i wstęp R. Radyszewski, Kijów 2012, s. 424.

[2] [A. Świętochowski], *Wywóz naszej inteligencyi*, „Przegląd Tygodniowy" 1874, nr 32, s. 261–262; nr 24, s. 281–283. Brak podpisu pod tekstem. Ponieważ artykuł przywołuję w *Aneksie* do niniejszego artykułu w wersji ze zmodernizowaną pisownią i z przypisami opracowanymi przez dra Łukasza Zabielskiego, cytując tu tekst oznaczam go skrótem **W** w nawiasie, po którym nie podaję strony, lecz odsyłam do pełnej edycji w *Aneksie*. Podkreślenia w cytatach moje – J. Ł.

sła Prawdy? Zdiagnozował – to z jednej strony – wewnętrzne przyczyny ciężkiej anomalii, jaką jest ucieczka najzdolniejszych i najlepiej wykształconych młodych Polaków na zagraniczne uczelnie. Lecz jeszcze ostrzej dostrzegł – to z drugiej strony – przyczyny procesów, które na Zachodzie prowadzą do tej sytuacji; zastanowiwszy się nad tym, dlaczego właściwie Zachód potrzebuje obcej siły roboczej, wstrzymał się jednak z oceną tego stanu rzeczy. Czyżby ów społeczno-cywilizacyjny *telos*, cel kultury polskiej znajdującej się w opresji, czyli jej marsz na Zachód, wcielanie i powielanie wszystkich zachodnich wzorców, co pozytywiści z „Przeglądu Tygodniowego" aplikowali sobie współczesnym jako remedium na zacofanie, zapóźnienie kulturowo-cywilizacyjne – czyżby ów wielki cel jawił się w świetle tych rozpoznań niejednoznacznie? Jeśli mamy czerpać wzory z Zachodu, to przecież znacznie więcej musi ten Zachód przedstawiać sobą przewag i atrakcji, niż takich czy innych zagrożeń, chorób społecznych[3]. I tu właśnie Świętochowski, tak zazwyczaj porywczy w ferowaniu sądów, po prostu z a w i e s i ł g ł o s. Nic złego o Zachodzie nie rzekłszy, przeszedł szybko do opisu sytuacji na ziemiach polskich. Dlaczego?

Krótko: ten znakomity tekst zawiera też nie wprost wyrażoną szerszą wizję sprzeczności europejskiej wczesnej nowoczesności. Wrócimy do tego na końcu.

Nie czytam tu tekstu publicystycznego Świętochowskiego w prostym porządku znaczeń, jakie podsuwa tytuł. Nie chcę wraz z autorem utyskiwać na groźne zjawisko życia społecznego. Szukam raczej niewyrażonych jasno przesłanek takich a nie innych diagnoz – bo, jak wspomniałem, środków zaradczych Poseł Prawdy nie ujawnia, co przyzna ze szczerą bezradnością. Tekst ów wielokrotnie był przywoływany na świadka, najczęściej w pracach, gdzie ambicją było szersze ujęcie tematów, które badacze opracowywali. Tak właśnie traktuje artykuł Jerzy Jedlicki, czyniąc z niego materiał egzemplifikacyjny w swym imponującym rysie dziejów inteligencji polskiej, która przechodzi trudną drogę od konkurencji na rynku pracy do konkurencji na rynku idei (co ma być istotą i właściwą rolą społeczną inteligencji)[4].

Tymczasem Świętochowski pisze w sobie tylko właściwym porządku intelektualnym i stylistycznym, który z oporem daje się naginać do apriorycznych tez późniejszych interpretatorów. Szersze zjawisko emigracji siły roboczej – fizycznej i intelektualnej – obejmowało na ziemiach polskich inteligencję, ale też Żydów i chło-

[3] O obrazie Zachodu po 1864 roku: A. Wierzbicki, *Wschód – Zachód w koncepcjach dziejów Polski. Z dziejów polskiej myśli historycznej w dobie porozbiorowej*, Warszawa 1984; *Europa w krzywym zwierciadle XIX i XX wieku*, red. A. Barszczewska-Krupa, Łódź 2000.

[4] J. Jedlicki, *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują*, Warszawa 1988, s. 246: „Każdy z jej koryfeuszy miewał chwile, w których – obserwując sytuację na rynku pracy – odradzał młodzieży wyższe kształcenie się. «Liczba urzędników, prawników, nauczycieli, doktorów – pisał Świętochowski już w roku 1872 – nie da się zbyt szybko mnożyć, a nawet ich pomnożenie nadmierne jest ujemnym nabytkiem dla społeczeństwa. Tymczasem liczba producentów da się posunąć prawie do nieskończoności – gdyż każdy producent jest zarazem i konsumentem, utrzymującym równowagę w wymianie. [...] Cała zamiana leży w tem, ażeby ojciec zamiast marzyć dla swego syna o karierze profesora lub sędziego, [...] postarał się [...] o przygotowanie go do zajęć kupca, rzemieślnika, rolnika etc. przemysłowca»". Cyt. za: A. Świętochowski, *Co robić?*, „Przegląd Tygodniowy" 1872, nr 37, s. 289–290.

pów[5]. Każdorazowe przejrzenie przyczyn tego zjawiska – przejrzenie dwustronne: u nas i tam, gdzie Polacy i mieszkańcy ziem polskich wyjeżdżali – wskazywało na dynamikę procesów gospodarczych, społecznych, które miały zazwyczaj negatywny wymiar. Ale tę negatywność odkrywano, co może zaskakiwać, i u nas, i u nich – na Zachodzie, w Rosji, w Ameryce, w Brazylii, wszędzie, słowem, tam, gdzie ludność ta wyjeżdżała. Świat jawił się w tym momencie w pełni w trudnej do intelektualnego opanowania wieloznaczności. Wieloznaczności bolesnej i niepokojącej dla pokolenia młodych entuzjastów postępu z kręgu warszawskiej inteligencji, wierzących w racjonalność badania rzeczywistości, a jeszcze większe nadzieje pokładających w rozumnie dozowanych metodach zaradzania złu społecznemu. A tu trafiały im się od czasu do czasu przypadki, zdawałoby się, beznadziejne. Podcinające – globalnie – pozytywistyczny optymizm.

Diagnoza Zachodu

Świętochowski atakuje obie strony: naiwność Polaków i zachłanność, cywilizacyjne wyrachowanie „ucywilizowanych narodów" (W). Zrazu uruchamia w myśleniu o problemie paradygmat dobrze znanych opozycji kategorialnych: patriotyzm/ brak patriotyzmu, nasz/ obcy, praca (dla swoich)/ służba (u obcych), „zdrowy rozum"/ idealizm. Rozpoznanie jego obejmuje dość ograniczoną, ale przez to też wiarygodną płaszczyznę geograficzną: z jednej strony analizuje sytuację na ziemiach polskich po '64 roku, z drugiej myślą i wyobraźnią obejmuje wybrane kraje Zachodu, czyli Francję, Belgię, Prusy i Austrię (a więc kraje romańskie i przede wszystkim germański krąg cywilizacyjny)[6]. Właśnie myślenie o przyczynach zapotrzebowania na intelektualistów z dworów i miast polskich, a szerzej też ze wschodu Europy, prowadzi Posła Prawdy do wniosków nieoczywistych, wręcz alarmistycznych:

„Tymczasem znowu, z drugiej strony, co chwila dochodzi nas wiadomość, że jeden Polak został asystentem w Bonn, drugi w Królewcu, trzeci w Jenie, inni znowu gdzie indziej. Zestawiając te wypadki z wiadomymi nam warunkami, nie znajdujemy w myśli ani jednej wskazówki, która by nam je objaśnić mogła. Fakt staje się jeszcze bardziej zagadkowym przez to, że nań wcale się nie składają tryumfy jakichś wyjątkowych sił i uzdolnień. Gdyby Niemcy zwerbowali Supińskiego lub

[5] M. Borys, *Polska emigracja do Stanów Zjednoczonych do 1914 roku*, Toruń 2011; *Obecność polska w Brazylii. Materiały z Sympozjum Brazylia – Polska, Kurytyba 1988*, Warszawa 1996.

[6] Warto zauważyć nieobecność na tej liście Rosji, która prowadziła własną, silnie zideologizowaną politykę wobec Polaków-uczonych, szermując katedrami i namawiając do przyjęcia panslawistycznej ideologii. Niejeden uległ tym pokusom, by wspomnieć Józefa Sękowskiego, Wacława Aleksandra Maciejowskiego czy brata wieszcza – Aleksandra Mickiewicza. Por. L. Bazylow, *Polacy w Petersburgu*, Wrocław 1984; F. Nowiński, *Polacy na Uniwersytecie Petersburskim w latach 1832–1884*, Wrocław 1986; A. B. Cichocka, *Odessa inspiracją Polaków*, Poznań 2017. Także: *Uniwersytet XXI wieku. Nauka i lokalność. Studia*, red. J. Ławski, K. K. Pilichiewicz, Białystok 2018.

Wagę, wcale by nas to nie dziwiło, tak jak nie dziwiło nas, gdy wzięli Trentowskiego; ale że chętnie przyjmują średnie, często bardzo młode i niczym wydatnie nie odznaczające się umysły – tego od razu zrozumieć niepodobna. Miałżeby u nich być brak ludzi z wyższym ukształceniem? Niestety, tak jest. Fałszywe to i z pozoru paradoksalne w naszych ustach spostrzeżenie, jest najniewątpliwszą i najwyraźniej przez samych Niemców zeznawaną prawdą" (W).

Publicystę więc „bierze chęć poznać jego [zjawiska] przyczyny" (W), dlaczegóż w Niemczech brakuje naukowców, pomimo iż to kraj „głęboko nasiąkły potrzebą nauki" (W)[7]. Tu jeszcze jedna uwaga: Świętochowskiego nie interesuje, by tak rzec, inteligenckna klasa średnia – jego ambicją jest zgłębienie przyczyn emigracji najzdolniejszych: naukowców, wynalazców, pedagogów. Właśnie uchwycenie się tego najwyższego szczebla warstwy inteligenckiej pozwala – nie waham się powiedzieć – obnażyć słabość ideału społeczno-cywilizacyjnego, jakim tu jest (pomimo wszystko!) Zachód.

Jaki on jest? Niepiękny. Tam właśnie, na Zachodzie, inteligencja jest źle opłacana, niemal nikomu zatem nie opłaca się stawać w szranki walki o tytuły naukowe, o humanistyczne kariery, trwające długo i przeżywane najczęściej w biedzie. Zachód Świętochowskiego nastawiony jest na zysk, szybki dostatek, bogactwo. Profesor nie jest tam wzorem – lekarz, pożyteczny i dużo zarabiający, tak! „Praktyczne skierowanie społeczeństw niemieckich" (W) wyraża się w całkowitym odrzuceniu idealistycznych mrzonek. Rządzi „zysk materialny", „panowanie kapitału", „pieniądz" (W), wyzwalające w Zachodnioeuropejczykach zmysł pragmatyzmu z jednej i zachłanność na dobra materialne z drugiej strony. Efektem takiego ukierunkowania rozwoju jest odrzucenie wszelkiego ascetyzmu (a tego wymaga kariera naukowca), wygodnictwo, kult przyjemności. Słowem, hedonizm, który Poseł Prawdy nazywa „uszlachetnionym epikureizmem":

„Odrzućmy na bok sentymentalną deklamację dla użytku bliźniego i zapytajmy samych siebie, czy nie idzie nam przede wszystkim o to, ażeby pozyskać ten czarodziejski talizman, który wszystko najlepsze do siebie zwabi, najjaśniejsze promienie życia zapali? W najświetniejszym skierowaniu ludów cywilizowanego świata objawił się pewien uszlachetniony epikureizm, pewna dbałość o wyczerpywanie wszelkich dostępnych źródeł życiowego zadowolenia. Jest to objaw nie tylko naturalny, ale nawet praktycznie rozsądny. Poza obowiązkami naszych ludzkich przeznaczeń, poza sferą naszych powinności społecznych i rodzinnych rozciąga się dla nas sfera praw do możliwego maksimum osobistej wygody i szczęścia" (W)[8].

Warto zwrócić uwagę na fakt, że ów szermierz idei pozytywistycznych pisze o Zachodzie z najwyższym chwilami uniesieniem – czasem z pełną akceptacją. „Żyjemy w epoce bezwzględnego panowania kapitału: pieniądz jest siłą, niepodle-

[7] Jak widać, publicysta odwołuje się do stereotypu kulturowego Niemców jako narodu uczonych. Zob. W. Wrzesiński, *Sąsiad, czy wróg? Ze studiów nad kształtowaniem obrazu Niemca w Polsce w latach 1795–1939*, wyd. 2 zm., Wrocław 2007.

[8] I w tym przypadku obraz myśli samego Epikura daleki jest od powszechnego wyobrażenia o epikureizmie jako pochwale użycia, przyjemności, a nawet wygody. Epikur zalecał mędrcowi wstrzemięźliwość polegającą na wspominaniu zaznanych przyjemności. Zob. I. Povarkov, *Epikur: paradoksy hedonizmu*, przeł. E. Rutkowski, Warszawa 1981.

głością i szczęściem"; „Jest to kwiat paproci XIX wieku, z tą tylko różnicą, że nie bajeczny. Każdy raz tylko żyje, raz więc tylko zdarza mu się noc świętojańska, w której ów kwiat zerwać może. Nie potępiajmy go (...)" (W)[9]. Świętochowski – profeta panracjonalizmu, prowadzącego aż do irracjonalizmu – popada w ekstazę w apologii praktycyzmu, hedonizmu i pragmatyzmu. Żadnych złudzeń, zdaje się mówić, światem, a w szczególności Zachodem, rządzi kapitał, jego gromadzenie jest prawem krótko żyjących jestestw, mających też prawo do odrzucenia rojeń poświęcających się za wszystkich jednostek. Posłowi Prawdy w wielkiej dygresji wymyka się aż za wiele, bo dość nieznośny, impertynencki, okrutny atak na wszystko, co związane z pasją, poświęceniem dla nauki, ideałami:

„Gdzie tylko pewne jednostki umierają w ubóstwie za ideę, tam ogół z pewnością żyje wyłącznie dla używania. Ze stanowiska egoistycznego interesu nadzwyczaj ponętną jest teoria poświęceń – cudzych, ale ze stanowiska interesu tych, którym taką ofiarę zalecamy – jest ona szaleństwem. Bo niech odpowie zdrowy rozum, czy na przykład każdy zabijający się ubóstwem dlatego, ażeby przynieść literaturze daninę, o której ona zaledwie pamiętać będzie, nie lepiej by dla siebie zrobił, zająwszy stanowisko innej pracy, na którym mógłby być stosunkowo równie użytecznym, a daleko szczęśliwszym? Ginąć dlatego, ażeby ogółowi zostawić kilka przydatnych robót, b y ć o s t r y g ą, którą ten ogół pochłonie i zapomni, być pozbawionym wszelkiego egoizmu p r o d u k t e m s t r a w y dla innych – taką teorię można wygłosić s t o j ą c y m w s z l a c h t u z i e w o ł o m, ale nie posiadającemu prawa do osobistego szczęścia człowiekowi" (W)[10].

W imię jakich, pytamy, ideałów miałyby zostawać na ziemiach polskich jednostki najzdolniejsze, które są podkupowane przez cynicznie hedonistyczne społeczeństwa Zachodu? Ależ, powiada Świętochowski, wcale nie w imię ideałów, ale dobrze urządzonych warunków pracy naukowej, nauczycielskiej, inżynierskiej. Tych jednak – to zimny umysł Świętochowskiego wie – na ziemiach poddanych popowstaniowemu terrorowi nie ma i nie będzie![11] Jaki stąd wniosek? Świętochowski oznajmia, iż nie istnieją środki zaradcze; inteligencja musi ulegać „wywozowi", uciekać tam, gdzie już miejscowi, syci i bogaci, pracować i poświęcać się nie chcą, a gdzie wciąż zachodnie wzorce pracy uniwersyteckiej są atrakcyjne dla przybysza z Europy Środkowo-Wschodniej.

Tekst Posła Prawdy jest w tej swej części przykładem irracjonalizmu, do jakiego prowadzi racjonalistyczna demagogia. W imię jakich racji mielibyśmy przyjmować jego konstatacje, iż jest tak, bo tak jest i inaczej być nie może? Publicysta

---

[9] W rozpoznaniu siły „kapitału" w 2 poł. XIX wieku Świętochowski jest bliski myślicielom zachodnim, w tym Marksowi. Zadziwia jednak brak jakiegokolwiek krytycznego, nawet wartościującego podejścia publicysty do myśli o powszechnym panowaniu kapitału. Por. też: A. Ciołkosz, *Karol Marks a powstanie styczniowe*, Londyn 1963.

[10] Nie sposób nie zwrócić uwagi na brutalizm obrazowania Świętochowskiego, który wypada nawet z ram ironii i sarkazmu i przechodzi do stylistyczno-obrazowego instrumentarium drwiny pełnej politowania, urągania, naśmiewania się, co wyraża przywołanie zoomorficznych obrazów: o s t r y g i, s t r a w y, w o ł u i w końcu (sic!) r z e ź n i („szlachtuz").

[11] Por. znakomitą pracę Danuty Dąbrowskiej: *Powstanie jako sposób bycia Polaków*, [w:] *Dyskurs powstańczy w kulturze polskiej*, red. D. Dąbrowska, Szczecin 2015, s. 7–32.

dochodzi do zdumiewających paralogizmów. Zachwala „praktyczny" umysł niemiecki:

„Niemiec takiej teorii nie zna – a raczej stosować jej nie chce. On zawsze stara się pogodzić interes ogółu z interesem jednostki, podejmie i spełni wszystkie obowiązki, ale pod tym warunkiem, że mu za nie społeczeństwo na jego osobistym szczęściu wynagrodzi" (W).

– lecz nie ma słowa nagany dla konsekwencji tej praktyczności, jaką jest brak uczonych i nauczycieli w Niemczech, a w dalszym następstwie ich wywóz z ziem polskich:

„Taką zaś upośledzoną pracą jest nauka i związane z nią nauczycielstwo. Nie słuchajmy tego, co nam zawsze gotowa do czczych uniesień deklamacja prawi, ale patrzmy w rzeczywistość, a bez wielkiego trudu przekonamy się, że niezależnie od najzaszczytniejszych pochwał w teorii nagrody względnie do wysokości pracy i jej ogólnych zysków, najmniejszą taksę oznaczyła dla nauki. Nie chcemy tu badać przyczyn takiego stanu rzeczy ani doszukiwać się przewinień, konstatujemy tylko fakt, który nie pozostawia żadnych wątpliwości" (W).

Wszystko to prowadzi go już nawet nie do antyidealizmu, lecz jakiegoś ponurego fatalizmu w ocenie społecznych szans ludzi wykształconych, inteligentnych, zdolnych:

„Jest bowiem rzeczą pewną, że z dwóch ludzi, z których jeden jest umysłem miernym i nierozwiniętym, drugi znakomitym i ukształconym, pierwszy, jeśli pójdzie na drogę handlową, daleko wcześniej i daleko lepiej będzie za swą pracę wynagrodzonym niż ostatni, jeśli się nauce poświęcił. Każdy z nas w otoczeniu swoim znajdzie taką parę do porównania, która mu myśl naszą potwierdzi" (W)[12].

Co zdumiewa najbardziej, to bezkrytycyzm, a chwilami uwielbienie, z jakimi Świętochowski odmalowuje rzekomo nieubłaganą logikę prowadzących do wykształcenia się hedonistycznej formacji kapitalistycznego społeczeństwa. Powiada: tak jest, bo tak być musi. Determinizm przechodzi tu nie w krytykę fatalizmu, lecz w afirmację kapitalizmu, który w imię użycia, nażycia się jednostki, w imię gromadzenia kapitałów wielkich i kapitalików wyzuwa jednostkę i społeczeństwo z wszelkich aspiracji ponadpraktycznych. W konsekwencji wyrachowany drenaż talentów, infiltracja i kolonizacja sfer inteligenckich przez Niemców okazują się... koniecznością dziejową:

„Dbałość o zadowolenie swych osobistych potrzeb, a możliwie szczęśliwe przepędzenie życia, skierowała masy na te pola pracy, gdzie te cele najniezawodniej osiągnięte być mogą, a odwróciła od tego, na którym nie tylko w niezmiernie wyjątkowych szansach osiągnąć się dadzą. Stąd też Niemcy mają bogactwo, mają olbrzymi procent ludzi gruntownie ukształconych, jeszcze większy chcących pracować, i jednocześnie mają za mało wyższych nauczycieli. Niedostatkowi temu trzeba radzić, rozum też niemiecki chwycił się środka, który go nie kosztuje ani jednej straty, a doskonale służy potrzebie, mianowicie ogłosił i rozpoczął zakup obcej inte-

[12] Osobliwą rolę w retoryce Świętochowskiego pełni słowo „każdy": jest ono kwantyfikatorem, który nie przewiduje wyjątków. Tezy głoszone przez publicystę są więc oczywiste i nie przewidują dyskusji nad nimi. Są oczywiste dla „każdego".

ligencji. Między innymi i nasza się znalazła, jak zaś nam się jej wywóz opłaca – zobaczymy" (W).

Świętochowski sięga w artykule po ironię, a właściwie jeszcze częściej po sarkazm. Ironiczna świadomość obiecuje przecież burzenie starego świata, ale i może odsłonięcie nowych horyzontów tworzenia. Sarkazm jest ciężką i przewrotnie nieodwracalną konstatacją stanu. Jest oznajmieniem nieusuwalnej anomalii – językowej, relacyjnej, faktograficznej, ideowej. W dużym stopniu autor tekstu zapędza się tu w kozi róg paralogizmów i sarkazmu. Opis Zachodu, jego pogoni za kapitałem, jego „głodu" rąk i umysłów do pracy nie prowadzi Świętochowskiego do żadnych wniosków krytycznych, lecz do pełnej podziwu – zmieszanego z ironią – konstatacji „faktów"[13].

Prawdziwie, widać tu, iż Poseł Prawdy był publicystą, lecz nie filozofem. Że był mistrzem „prawdy" publicystycznej, okraszonej retoryką w najwyższym wykonaniu, ale bezradnej wobec konieczności formułowania propozycji. Niechby były one „idealistyczne", nietrafione, niechby były one oderwane od ziemi, jak owa filozofia niemiecka, która nie ma nic wspólnego z życiem narodu niemieckiego upojonego hedonizmem i gromadzeniem kapitału[14]. W tym sensie tekst ten jest także niezamierzoną autodiagnozą autora. O tym na końcu.

Obraz ziem polskich

Na zarysowanym tu powyżej tle rozpoznania sytuacji polskiej nie wypadają zaskakująco. Obraz Zachodu jest ostry, wyrazisty i przerażająco bezalternatywny. Ziemie polskie cierpią a to na nadmiar „wyższej inteligencji", a to na jej we wszystkich dziedzinach niedostatek. Te fragmenty wywodu Jedlicki włącza do swej konstrukcji dziejów inteligencji polskiej[15]. Jeśli więc na Zachodzie pęd cywilizacyjny wytwarza owe puste pola pracy naukowej do zagospodarowania, to na Wschodzie niezagospodarowana inteligencja klepie biedę:

„Skądże więc pochodzi, że jednocześnie widzimy taką masę naszej inteligencji bezczynnie marnującą się lub za granicę wywożoną? Odpowiedź prosta – stąd, że

[13] Innymi słowy: był niezastąpiony w dekonstruowaniu najnowszej tradycji romantycznej, lecz bezradny w tworzeniu własnej. Dość szybko wytkną to pozytywistom Stanisław Brzozowski czy Antoni Potocki. A także, w artystycznej formie, Berent. Por. I. E. Rusek, *Życia lampy niewygasłe. Studium o „Oziminie" Wacława Berenta*, Warszawa 2017.

[14] Zupełnie inaczej przygodę z kulturą niemiecką przeżył Maurycy Mochnacki, wielki entuzjasta Schellinga i Schuberta. Od młodzieńczej fascynacji przeszedł do całkowitego odrzucenia idealistycznej filozofii niemieckiej w artykule emigracyjnym: *O rewolucji w Niemczech* (1833). Por. S. Krzemień-Ojak, *Maurycy Mochnacki. Program kulturalny i myśl krytycznoliteracka*, Warszawa 1975; J. Ławski, *Słowiańska fascynacja ciemną stroną natury: Maurycy Mochnacki*, [w:] G.H. von Schubert, *Nocna strona przyrodoznawstwa*, przeł. K. Krzemień-Ojak, wstęp S. Dietzsch i A. Bonchino, przypisy Ł. Krzemień-Ojak i S. Dietzsch, wstęp, opr. i red. J. Ławski, Białystok 2015, s. 45–70; H. Schröder, *Studien über Maurycy Mochnacki mit besonderer Berücksichtigung des deutschen Einflusses*, Berlin 1953.

[15] J. Jedlicki, dz. cyt., s. 255: „Konkurencja na rynku pracy [pośród inteligentów – J. Ł.] zostanie zaćmiona przez konkurencję na rynku idei".

z niej użytkować nie możemy. Kto zna dobrze warunki naszej publicznej pracy, ten sobie rzecz całą sam na faktach wyjaśni, my więc dotkniemy tylko tej strony kwestii, która nie naszej bezsiły – lecz nieobywatelskości i nierozumu dotyczy. Wspomnieliśmy wyżej, iż we wszystkich niemal dziedzinach znajdujemy dość znaczny procent cudzoziemców, otóż procent ten składa się z przyczyn w połowie niezależnych, ale także i w połowie zależnych od nas. Do dziś bowiem obok swego lichego patriotyzmu, powtarzamy bezmyślnie tę na wskroś niedorzeczną maksymę, że obcy zawsze lepszy niż swój. W chwili, kiedy nasze wrodzone uzdolnienia plemienne stały się niemal pewnikiem w całej Europie, kiedy młodzież polska zdobywa pierwsze nagrody w zagranicznych instytucjach, kiedy geniusz polski jest we Francji, Niemczech, Szwajcarii przedmiotem wielkim konkurencji i pokupu – my swoje umysłowe siły cenimy na równi z siłami Kafrów lub Japończyków. Straszna to doprawdy ironia i bolesny wstyd dla nas, że kiedy obcy powierzają naszym ziomkom przekopy największych w świecie tunelów i roboty najwspanialszych mostów, my swojskiemu talentowi nie dowierzamy w budowie lub kierownictwie jakiejś tam fabryczki" (W).

To wszystko dzieje się, powiada pisarz-orator, przy obojętności wobec faktu, że na ziemie polskie sprowadza się nauczycieli, inżynierów i innych specjalistów z Zachodu w przekonaniu, że wszystko, co obce, zachodnie, jest lepsze od swojskiego. Zatem jednak, warto spostrzec, sam Świętochowski nie przekonywał nas przed chwilą, że często straszne procesy społeczne na Zachodzie są konieczne i dobre, bo po prostu są. A są, bo rozwinęły się tam, gdzie były warunki, na Zachodzie. Czyż więc nie dlatego są dobre, bo są zachodnie, a zachodnie oznacza «ucywilizowane w stopniu możliwie najwyższym»... Czyli to, co dobre, jest zachodnie. A co zachodnie, z konieczności – jest dobre.

Świętochowski uznaje przedmiot swoich rozważań za tylko powierzchniowo problematyczny: to „p o z o r n i e d z i w n y f a k t w y w o z u n a s z e j i n t e l i g e n c j i" (W). Co ciekawe, w tytule i tekście autor tak formułuje opis zjawiska, jakby to ktoś *wywoził* polską inteligencję. Nie pisze więc o emigracji, wyjeździe, ucieczce, lecz o „wywozie" inteligencji, która jest „nasza". Z opisu zjawisk nie wynika jednak, by i ta „naszość" była wartością szczególną. Uczony ma prawo – oczywiście, „dla ludzkości" – spełniać swój los wszędzie, gdzie są po temu warunki. Pisarz przywoła szersze niż polskie przykłady:

„Dlatego przy każdej niemal zagranicznej szkole znajdziemy jakiegoś przez te lub inne względy zarekomendowanego Polaka, dlatego Nencki jest profesorem fizjologii w Lozannie, Olszewski asystentem w Strasburgu, Strasburgier profesorem w Jena – inni w Bonn, inni w Heidelbergu, inni (jak Baudouin de Courtenay) powoływani i tak dalej. – Jak zaś Niemcy gorliwie wykupują sobie znakomitości nawet z innych uniwersytetów, dowodem zwerbowanie do Berlina sławnego filologa Jagicia, Serba, profesora przy Uniwersytecie Odeskim, któremu ofiarowali olbrzymią pensję. Taki systemat – a dodajmy, wysoce mądry – może podtrzymywać u nich ogniska wyższej wiedzy, może stwarzać wielką cywilizację. My tymczasem żyć musimy jak pszczoły, którym mozolnie zapracowany miód co czas pewien obca ręka wykrawa. Słysząc tylko rozsławione po Europie ziomków imiona, otwartymi zdumieniem ustami pytamy się naokoło, skąd te gwiazdy nagle po obcym niebie się

wzięły, kiedyśmy ich na swoim nigdy nie widzieli. Smutna to dola być martwym, ciągle przebieranym, obcemu użytkowi służącym produktem. Smutna to dola nie mieć swego rodzinnego ducha nawet na wyżywienie się! Ile na tym handlu naszą inteligencją tracimy, z trudnością by się obliczyć dało. To gorsze niż wywóz drzewa lub zboża do Gdańska" (W)[16].

Dodaje, iż tam wszędzie, gdzie inteligencja aklimatyzuje się w nowym środowisku, tam ulega wynarodowieniu: „Zjawisko to wreszcie jest tak naturalne, że tych, którzy się nań składają, oskarżać niepodobna" (W). Trudno zaprzeczyć. Są to procesy nieuchronne, że człowiek, „osiadłszy na obcym gruncie, ulega jego wpływom i pomału modyfikuje się według praw nowego otoczenia i nowej atmosfery" (W). Ale i to jest, zda się, nieuchronne, czyż więc godzi się przeczyć, iż człowiek ma do tego prawo: „Trzeba zapomnieć o bohaterach, a pamiętać o ludziach" (W). Jest to jeszcze jeden fatalistyczno-demagogiczny argument. Zatem żadnych wymagań nie można stawiać tym, których wykształciło jedno społeczeństwo, a zabiera inne? Chyba więc podtrzymywanie narodowości w „nowym" otoczeniu przekracza siły jednostki, która ma już zapewniony byt materialny? Świętochowski nigdzie takich pytań nie stawia. Humanistyczne prawo do szczęścia jednostkowego tłumaczy tu każdy wybór „wywożonego" inteligenta.

Czyż jednak nie stoi to w sprzeczności z pozytywistycznym przekonaniem samego Świętochowskiego, iż człowiek jest istotą społeczną tak w zakresie praw, jak i obowiązków? Naprawdę wystarczy wyrzec: „Żałować jednak, i to często żałować trzeba" (W)?

Należy przyznać *ex post* – już spoza horyzontu stu pięćdziesięciu lat – rację Świętochowskiemu w kwestii stanu nauki w Polsce: jest ona aż po dziś dzień dziełem tylko entuzjastów, a nie pracowników dobrze zorganizowanych i zasobnych instytucji[17].

Prawdziwym osiągnięciem artykułu Świętochowskiego jest rozpoznanie mechanizmu procesów społecznych na Zachodzie. Zachód w XIX wieku ma bowiem sprawną technologię społeczną pozyskiwania talentów, umysłów i rąk do pracy tam, gdzie jego przedstawiciele sami nie chcą już pracować, bo pragną „bogactwa" i „szczęścia".

Ogólny zaś opis niedostatków zaborowej sytuacji nie wydaje się oryginalny. Jeszcze bardziej rozczarowują konkluzje: trzeba, wynika z artykułu, być człowiekiem Zachodu, nawet jeśli ten Zachód troszczy się tylko o swą korzyść materialną i hedonistyczną. Właściwie: dlaczego należałoby „żałować", że inteligencja opusz-

[16] Warto zauważyć, że Świętochowski przywołuje przykład Jagicia z Uniwersytetu Odeskiego, którego „podkupili" Niemcy do Berlina. Tymczasem Uniwersytet Odeski był wtedy instytucją młodą (miał ledwie 9 lat, powołano go w 1865 roku) i sam przyciągał wielu Polaków, którzy chętnie podejmowali na nim pracę. Ruch handlowy talentami nie był więc jednostronny: ze Wschodu na Zachód. Był dwustronny: z ziem polskich na Zachód i na Wschód, do Moskwy, Petersburga, Odessy, Kazania.

[17] Por. A. Borowski, *Tekst, miłość i pieniądze*; J. Ławski, *Bezradność. Nauka – student – uniwersytet*, [w:] *Przyszłość polonistyki. Koncepcje – rewizje – przemiany*, red. A. Dziadek, K. Kłosiński, F. Mazurkiewicz, Katowice 2013; A. Bloom, *Umysł zamknięty. O tym, jak amerykańskie szkolnictwo zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, przeł. T. Bieroń, Poznań 2012; P. Nowak, *Hodowanie tryglodytów*, Warszawa 2014.

cza ziemie polskie, skoro serce cywilizacji bije na Zachodzie? Czy stworzenie systemu, podstaw rozwoju nauki, zakładanie bibliotek – czy to pomoże?[18] Przecież, zdaje się ta teza wybrzmiewać z tekstu, nauka nie ma narodowości... Ależ ma, zwłaszcza humanistyka.

Jest w tekście Świętochowskiego żal, nawet swoista rozpacz inteligenta, który widzi społeczeństwo w opresji, osłabiane przez inne społeczeństwa w rozkwicie. Przez społeczeństwa, które są wzorem, mają zaś być modelem rozwoju dla reformatorów znad Wisły. Jednak rozpacz tę przezwycięża twórca apologią determinizmu: Zachód tak musi się rozwijać, jak się rozwija, gromadząc kapitał, oddając się użyciu, ściągając do pracy zagraniczne – ale najlepsze – umysły biednych i sponiewieranych niewolą Wschodnioeuropejczyków. Z opisu Zachodu pisarz nie wyprowadza wniosków krytycznych; z diagnozy sytuacji polskiej nie wychodzi ku jakimkolwiek projektom zaradczym. W finale dominuje więc retoryka bezradności, apelu i nagany:

„Jeden chyba tylko punkt tej kwestii nacisnąć by się dało, mianowicie dobrowolne wywędrowanie naszej inteligencji. Rozumiemy bowiem i zupełnie usprawiedliwiamy tych, którzy to robią po prostu dla chleba, dla chęci pracy, dla celów nauki, ale trudno jest wytłumaczyć tych, którzy opuszczają kraj jedynie dla przyjemności uniwersyteckiego tytułu i dla popisu w zagranicznej literaturze. Kto czepia się jakiej katedry w Bonn lub Jena – ażeby ocalić życie, robi dobrze, bo tak robić musi, ale kto, mając środki do niezależnej pracy w kraju, przenosi nad to lichą asystenturę lub docenturę w obcej szkole, a mogąc zasilać własne, zasila obce piśmiennictwo, ten chyba obywatelskiego uczucia w sobie ognisko przygasił. Inaczej bowiem musielibyśmy zdecydować się na zasadę, że każdy, z pominięciem wszelkich społecznych obowiązków, może zrobić taki użytek ze swej osoby i pracy, jaki mu się podoba. Jeśli zaś komu taka zasada wystarcza – można go bez żalu na *wywóz* odstąpić" (W). Wywóz! – pobrzmiewa w tym słowie sarkazm, zgryźliwość.

Lecz: w imię czego – jakiej wizji cywilizacyjnej – owi inteligenci, przygaszający w sobie „obywatelskie uczucia" i wyjeżdżający na Zachód, mieliby czynić inaczej? Tego Świętochowski nie mówi. Jest to bardzo znaczące.

Niezauważone sprzeczności?

Czytany z pewnego oddalenia, artykuł Świętochowskiego ujawnia znacznie szersze przesłanki sytuacji, którą poddaje analizie. Jest on – na przykładzie jednego, doniosłego problemu – zapisem stanu nowożytnej Europy: podzielonej na „wyzwolony", „epikurejski" Zachód, czyli Centrum, i zniewolony, zapóźniony Wschód (Rosja, Bałkany, ziemie polskie). Europy, w której proces upodmiotowienia jednostki i społeczeństwa albo wchodzi w fazę wczesnej nowoczesności (Zachód), albo się do niej dopiero zbliża (Wschód). Entuzjazm, bezkrytycyzm autora jest właśnie wyrazem tej zasadniczej nierównowagi Zachodu i Wschodu, która w zmienio-

[18] Por. J. Rudzki, *Rola nauki i oświaty w postępie społecznym*, [w:] tegoż, *Aleksander Świętochowski i pozytywizm warszawski*, Warszawa 1968.

nej postaci trwa aż po XXI wiek. Jest to nie tyle (choć również) nierównowaga gospodarcza, technologiczna, naukowa, ile kulturowa i polityczna. Z jednej strony mamy podążające krętą drogą w stronę dobrobytu i wolności społeczeństwa zachodnie, z drugiej poddane absolutyzmowi rosyjskiego hegemona, ledwie emancypujące się społecznie i narodowo społeczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej i Bałkanów[19]. Wiem, że upraszczam. Nieupraszczanie nie jest tu jednak możliwe.

W tekście Świętochowskiego odbija się cały dramat tego pęknięcia: tam, na Zachodzie, procesy nowożytnej emancypacji jednostek, klas i społeczeństw doprowadziły do epikurejsko-hedonistycznego przesytu, takiego przesytu, który zniechęca ludzi do podejmowania pracy, także tak, zdawałoby się, szlachetnej jak praca naukowa. Tam zaś, na Wschodzie, może i chciano by mieć naukę, ale wielorakie czynniki to uniemożliwiają: brak warunków materialnych, polityczne represje imperium i nieobliczalna aktywność procesów historycznych. W artykule Posła Prawdy – przepatrywanym z szerszych horyzontów – odciska się polski kompleks zaścianka. W czym?

Nade wszystko w bezkrytycyzmie wobec Zachodu, w uwielbieniu jego praktycyzmu, indywidualistycznego epikureizmu. Jaskrawo kontrastuje to z bladymi echami wezwań do społecznej solidarności, które słychać w finale. Ta faza nowożytności, którą zwiemy (na początku XXI wieku) późną nowoczesnością, ujawnia więc ostrą opozycję: indywidualizmu i solidaryzmu społecznego. Na Zachodzie wyraża się ona w starciu jednostki ze społeczeństwem, z państwem, w domaganiu się wszelkich praw dla indywidualizmu. Na Wschodzie opozycję tę zastępuje równoważna opozycja jednostkowej i zbiorowej (narodowej, społecznej) wolności i niewoli, zniewolenia.

Wewnątrz zniewolonej wspólnoty tli się jednak ów zachodni konflikt o prawa jednostki do każdego wolnego wyboru, także wyboru rezygnacji ze służby społeczeństwu, wspólnocie etnicznej i klasie. I tu Świętochowski dotyka bolesnej rany – jak i czy uczony ma prawo do opuszczenia wspólnoty (dodatkowo zniewolonej, więc i wywierającej przez poczucie obowiązku wzajemnego presję moralną)? Czy może emigrować, by zapewnić sobie dobrobyt materialny i warunki pracy, nawet jeśli na Zachodzie podejmuje pracę naukową, inżynierską, pedagogiczną, której ze względu na jej uciążliwości i procesualny charakter awansu nikt już tam nie chce wykonywać?

Świętochowski się nie waha. Mówi: żałujemy go, ale naukowiec ma do tego prawo. Dodatkowo ujawnia strukturalny mechanizm nierównowagi – Zachód ma społeczną technologię pozyskiwania talentów pieniędzmi, katedrami, warunkami badań. Wschód? Nie ma wiele. Solidarność, poczucie obowiązku wspólnotowego, budzące się lub rozbudzone idee narodowe. Ale to za mało, szczególnie w styranizowanym Priwislańskim Kraju.

Jeszcze jeden kontekst: przecież ten „wzorcotwórczy" Zachód jest oto – w momencie, gdy chwali go Świętochowski – w apogeum kolonialnego rozkwitu:

[19] Por. B. Cywiński, *Szańce kultur. Szkice z dziejów narodów Europy Wschodniej*, Warszawa 2013; J. Osterhammel, *Historia XIX wieku. Przeobrażenia świata*, red. W. Molik, Poznań 2013.

Wielka Brytania i Francja to imperia kolonialne. Malutka Belgia w 1885 roku zawłaszczy wielkie Kongo. Królestwo Holenderskie panuje nad wyspami Indonezji (i nie tylko). Zachód bogaci się, kolonizując świat. Nie są to procesy neutralne moralnie[20]. Świętochowski o tym nie wspomina.

Trafne diagnozy pisarza polskiego ujawniają jednakże szersze podziały „strategiczne" w rozwoju cywilizacji ludzkiej. Wyraźnie pęka ona na kolonialny świat europejski i przeżywający *boom* świat amerykański. To właśnie wtedy Zachód jest samą Europą, a Europa to po prostu Zachód. Wszystko inne aż po XXI wiek będzie peryferiami, prowincją, przed-Cywilizacją lub poza-Europą, od której kupuje się talenty, ręce do pracy i dokąd eksportuje się idee i technologie, witane tam z bezprzykładnym entuzjazmem. I bezkrytycznie implementowane. Taki Wschód trudno nawet nazwać „laboratorium idei" Zachodu w nauce, gospodarce, kulturze. Zachód rozrzutnie i wielkopańsko podaje na tacy ludziom Wschodu idee i technologie, których implementacją interesuje się marginalnie i dorywczo. Z jednym wyjątkiem.

Z wyjątkiem Rosji, imperium, największego państwa na Ziemi, odgradzającego Zachód od Azji, którą zresztą poddaje on podobnej kolonizacji. Artykuł Świętochowskiego ma swój wymiar polityczny. Nie, pisarz nie pyta, czy możliwa jest nauka między Berlinem a Petersburgiem, pomiędzy Prusami, które dopiero co upokorzyły Francję, a Rosją, która upokorzywszy Polaków, wkracza właśnie jako wyzwolicielka i szermierz „wolności" na Bałkany. Nauka – „jakaś" – jest możliwa. Ale nauka wielka, twórcza rozwija się tam, gdzie są pieniądze i gdzie są silne państwa, centra polityczne ją wspierające.

Nieprzypadkowo więc Świętochowski wskazuje na kraje germańskiego obszaru kulturalnego, Francję i (świeżo powstałą w 1831 roku) mieszczańską Belgię. Nie wspomina o Rosji, która od czasów Piotra Wielkiego zatrudnia tysiące uczonych z Zachodu, krajów niemieckich, eksplorujących nieskończoną przestrzeń Syberii, Azji, Kaukazu, wszystkich ziem, które podbija i wchłania. Możliwe to, iż Świętochowski o tym nie wie? Niemożliwe.

Trudno się dziwić, że nie może (cenzura) i nie chce o tym grzmieć retorycznie. Ideał nauki jawi się pozytywistom jako idea uniwersalistyczna. Tymczasem nauka jest polityczna – ma narodowość, polityczne umocowanie. Ma coś, co z braku słów nazwę «rządowością», sprzęgnięciem z ciałami zarządzającymi dobrze zorganizowanymi państwami. Uruchomiwszy ten kontekst, widzimy jeszcze bardziej beznadziejne położenie pozytywistycznego boju o naukę i naukowców, z czego autor *Historii chłopów polskich* jak mało kto musiał sobie zdawać sprawę[21]. – Jako reprezentant społeczeństwa w geopolitycznym i geokulturowym klinczu między Zachodem a Rosją. Między Bismarckiem a Aleksandrem II i ich imperialnymi mechanizmami państwowymi. Nauka, szczególnej humanistyka, ale doprawdy nie tylko ona, jest zawsze i uniwersalistyczna, i polityczna. Ma wymiar ogólnoludzki, lecz i narodowy. Służy konkretnym kulturom, państwom, ideologiom. Co nie znaczy, iż nie buduje pomimo tego jakichś dóbr ze sfery „ponad". Dóbr uniwersalnych.

---

[20] Por. A. Hochschild, *Duch króla Leopolda. Opowieść o chciwości, terrorze i bohaterstwie w kolonialne Afryce*, przeł. P. Tarczyński, Warszawa 2012 (pierw. 1998).

[21] Zob. A. Świętochowski, *Historia chłopów polskich. W zarysie. 1 i 2*, Poznań 1939. Pierwodruk: 1925–1929.

Przykład opisywanych społeczeństw zachodnich, które wytwarzały mechanizmy kaptowania talentów naukowych już w XIX wieku, pokazuje, że sytuacja reprezentanta nauki/ kultury polskiej (i ogólnie ze Wschodu) była złożona, niekomfortowa i właściwie rozpaczliwa. Czy beznadziejna? Nie. Świętochowski, przybierając pozę Polaka-człowieka uniwersalnego, z rozłożonymi rękoma, bezradny, choć świadom wszelkich ambiwalencji, powiada jednak: trudno, muszą wyjeżdżać, nie ma na to sposobu. I dodaje z retorycznym impetem słowa żalu...

„Zjawisko to wreszcie jest tak naturalne, że tych, którzy się nań składają, oskarżać niepodobna. Żałować jednak, i to często żałować trzeba. Strata siły, której podobnych tysiące znaleźć możemy i której usunięcie się nie stanowi w gospodarstwie społecznym żadnej różnicy, nie jest klęską, ale każdy ubytek, który by na losach myśli ogólnej choć odrobiną zaważył, jest dotkliwym uszczerbkiem. Jeśli więc ludzie, którzy swoją naukę, piśmienniczą działalność, materialne zasoby mogliby dla swego kraju zużytkować, ofiarują je obcym, to dobro ogólne ich narodu ubożeje za każdym razem o całą tych korzyści summę" (W).

Nie są to żale przekonujące. Świętochowski wybiera utopię szczęścia indywidualnego, które spełnia się w poświęceniu uniwersalistycznej nauce. Życie jest krótkie, mówi, korzystajmy z tego krótkiego snu tam, gdzie są po temu najlepsze warunki[22]. Nie odmawiajmy publicyście patriotyzmu – w istocie jego świetna diagnoza jest aktem odwagi nie mniejszym niż głoszenie jakiegoś programu. A wielu głosiło. Zygmunt Gloger pisał płomienne odezwy do chłopów, by przestrzec ich przed emigracją do Ameryki, Brazylii, Argentyny. Publikował, a może nawet fabrykował, listy świadków strasznej emigranckiej rzeczywistości, gdzie większość czekały wyzysk, nędza i niewolnicza praca[23]. W „Przeglądzie Tygodniowym" autor anonimowego artykułu *Współpracownictwo myślącego ogółu w gospodarstwie naukowym* (1873), będącego istną apologią statystyki, zarysowywał program, by tak rzec, pracy elementarnej na polu nauki. Wskazując przy tym, iż potrzebuje ona nie tylko „naczelnych przywódców", lecz i „prostych robotników":

„Krótko mówiąc, owym robotnikiem jest myślący i świadomy swych obowiązków obywatel. A więc przemysłowiec, ziemianin, urzędnik, kupiec, rzemieślnik i tak dalej, wszyscy inteligentni muszą pamiętać o nauce i choć przygodnie na własnej ziemi uszczkniętym kioskiem powiększać jej plony. Jest to takaż sama obywatelska powinność, jak wiele innych, które spełniamy niezależnie od tego, że one mają swych specjalnych przedstawicieli i stróżów. Dlaczegóż na przykład każdy z nas odkryłby i przytrzymał zbrodniarza, chociaż czynność taka leży w obrębie zajęć umyślnie dla niej stworzonego i uorganizowanego sądownictwa? Dlaczego wspieramy ubogich, kiedy istnieją dobroczynne instytucje? Dlaczego umoralniamy

[22] Oczywiste w tym przypadku musi być odwołanie do o kilka lat późniejszej publikacji: A. Świętochowski, *O epikureizmie*, Warszawa 1880.

[23] Por. Z. Gloger, *W sprawie emigracji*, „Gazeta Rolnicza" 1891, nr 37; tegoż, *Wychodźstwo do Ameryki*, „Kraj" 1890, nr 16; tegoż, *Przeciw wychodźstwu*, „Słowo" 1890, nr 247. Zob. te teksty w: Z. Gloger, *Pisma rozproszone*, T. III: *1890–1910*, pod red. J. Ławskiego i J. Leończuka, wstęp Ł. Zabielski, M. Rutkowski, J. Ławski, opr. i przypisy Ł. Zabielski, S. Kochaniec, M. Siedlecki, P. Suchodolski, noty i słownik czasopism A. Janicka, indeksy M. Siedlecki i M. Al-Kaber, Białystok 2016.

zepsutych, godzimy zwaśnionych, oświecamy ciemnych – kiedy to należy do osobnych kategorii ludzi wyłącznie temu poświęconych? Odpowiedź prosta – dlatego, że poczucie obywatelstwa każe nam wszelką specjalną opiekę nad społecznym dobrem zastąpić własnymi usiłowaniami tam, gdzie ona już sięgnąć niezdolna, a gdzie my ją z łatwością dopełnić możemy. Czy więc również toż same poczucie skłania wszystkich do współpracownictwa z ludźmi nauki w jej gospodarstwie? Nawet niepodobna wątpić, tym więcej, że często przesuwają nam się przed oczyma tego rodzaju widoki"[24].

Były więc i programy, i pomysły na to, jak naukę w sytuacji polskiej po '64 roku rozwijać, jak ją oddolnie wszczepiać w życie społeczne. W jakimś głębszym sensie cały pozytywizm kręgu „Przeglądu Tygodniowego" był takim pomysłem. Skąd więc wybrzmiewające defetyzmem, świetne w rozpoznaniu choroby, acz bezradne w jej obliczu słowa o *Wywozie naszej inteligencji*?

Świętochowski, czyli żarliwość myśli

Artykuł Świętochowskiego jest symptomatyczny pod jednym jeszcze względem. Stanowi zapis pewnej strategii pisarskiej twórcy, który uważał się za przywódcę, autorytet, krytyka literackiego, publicystę (nie grzeszył w tych rolach skromnością), lecz wspierał się argumentacyjnie nauką, filozofią, historią. Więcej – jako autor *Historii chłopów*, autor dziejów utopii – Świętochowski występuje jako XIX-wieczny (już z 2 połowy wieku, co ważne, bardziej usystematyzowany) uczony, reprezentant szeroko rozumianej humanistyki i nauk społecznych: historyk filozofii, literatury, jako socjolog, badacz dziejów nauki[25]. Do walki o własny obraz świata zaprzęga literaturę, jej gatunki, style, tradycje, polemikę, sztukę oratorską i retorykę. Kim jednak w i s t o c i e jest?

Pisarzem? Retoryka odbiera całą świeżość jego dziełom *stricte* literackim: dramatom, powieściom. Filozofem? Niestety, nie wychodzi poza głoszenie uznanych za słuszne idei pozytywistycznych. Są one tak wewnętrznie jednolite, że wtłoczone w zretoryzowany język protagonistów jego dramatów i powieści czynią go drętwym i nieautentycznym. Naukowcem? Ale czy felietonistyka z *Liberum veto* to nauka? Nie, to naukowa argumentacja wykorzystana publicystycznie przez ideologa. W jednym jedynym dziele Świętochowski jest naraz znakomitym pisarzem i filozofem-naukowcem, ale w tym właśnie tekście ujawnia to, czego jako ideolog nie chce odkryć: kłębowisko sprzeczności, jakim jest świat. To zjednoczenie dokonuje się w eseju – w *Dumaniach pesymisty* (1877)[26].

Kim jest poza *Dumaniami*? W moim przekonaniu, znakomitym pisarzem, którego królestwem jest publicystyka. Publicystyka traktowana nie jako obrzeża litera-

[24] *Współpracownictwo myślącego ogółu w gospodarstwie naukowym*, „Przegląd Tygodniowy" 1873, nr 43, s. 337–339.

[25] Por. A. Świętochowski, *Utopie w rozwoju historycznym*, Kraków 1910.

[26] Zob. A. Świętochowski, *Dumania pesymisty*, Lublana 1877. Pierwodruk w „Przeglądzie Tygodniowym" w 1874 roku. Zob. B. Mazan, *Wzory intelektualne Aleksandra Świętochowskiego*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria" 1, Łódź 1981, s. 27–45.

tury, lecz w XVIII wieku i po klęsce '64 roku jako samo centrum literatury pięknej. Publicystyka, w której jego domeną nie jest ujawnianie hamletycznych alternatyw i bezwyjściowych, paraliżujących sprzeczności, lecz przerysowywanie głoszonych diagnoz i tez. Świętochowski publicysta jest niesprawiedliwy, czasem aż skandalicznie. Ale jest skuteczny. Perswaduje, polemizuje, oburza, trafiając za każdym razem do odbiorcy. To ironista, sarkastyk, zoil-orator, zacietrzewiony ideolog-retor, lecz jakże świetny pisarz.

Ta jak najdalsza od realizmu estetycznego i życiowego strategia ideologa-publicysty ma swą cenę: możliwa jest do utrzymania tak długo, jak długo głosi w miarę spójną wizję świata. Gdyby ją skomplikować, wskazać nierozwiązywalne aporie, beznadziejne zapętlenia myśli, ległaby w gruzach. Ostatecznych sprzeczności istnienia i bytu nie dźwignie żadna retoryka. Nie uniesie publicysta. Co najwyżej wyrazi je sztuka poetycka, teatr, wizja, obraz, symbol. Świętochowski szybko dotknąwszy tych otchłani w *Dumaniach pesymisty*, nigdy już do nich nie powrócił. Uczynił słusznie.

Jego talent wyrażał się w płomiennym stylu, w tej stylistycznej apokatastazie, która w ogniu rozumu przepalała wszelakie idee tak, by zawsze rację miał bóg języka – Świętochowski.

Wywóz naszej inteligencji, ale również tak „słuszne" jego prace-manifesty, jak *Praca u podstaw* (1873), dowodzą nade wszystko zdolności analityczno-krytycznych, w dużo mniejszym stopniu umiejętności formułowania globalnych diagnoz i recept. Tam, gdzie pisarz mógł wejść na grząski grunt wątpliwości, pytań, nawet rozpaczliwych nawoływań do przeciwstawienia się czemuś, co, jak ucieczka talentów naukowych, zdawało się nie do przezwyciężenia, tam wszędzie odzywał się w nim racjonalista-dogmatyk, niepozwalający sobie na heroizm zmagań z beznadziejnymi sytuacjami. Czy dlatego, że wtedy nie mógłby błyszczeć jego talent pozytywistycznego Sokratesa i Diogenesa w jednym? Nawet tak ambitna, pełna rozmachu mitopeja jak *Duchy* (Części 1-3, Kraków 1899) zgrzyta przecież wymową pełną jednoznaczności: epopeja ducha zdaje się prowadzić do z góry upatrzonego przez pisarza-boga celu. A gdyby tak zabrnęła na mieliznę? Rozpadła się z niemożności wyrażania zaskakujących treści, obrazów, wizji, symboli, jak *Król-Duch* Słowackiego, jak prelekcje paryskie Mickiewicza? Popadła w niejednoznaczność jak *Lalka*? To się tu nie mogło tak zdarzyć. I tak aż po powieść *Twinko* (1936)[27].

Świętochowski był w pełni sobą, jak długo obnażał, rozkładał na czynniki wtóre i trzecie, negliżował, głosił, zalecał, zwalczał, rzadziej przekonywał. Jako dawca środków zaradczych – był bezradny, jak w artykule, dość świetnym przecież, który analizowaliśmy.

W żarliwym „liberum veto" był jego stylistyczny i intelektualny *modus vivendi*. Musiał płonąć, by pisać; musiał pisać, by płonąć.

W tym był znakomity. Klasyczny.

[27] Por. A. Świętochowski, *Twinko. Powieść*, Warszawa 1936.

ANEKS
[ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI]
WYWÓZ NASZEJ INTELIGENCYI

Artykuł ukazał się w dwóch częściach: „Przegląd Tygodniowy" 1874, nr 32, s. 261-262; nr 34, s. 281-283 (cz. II); opublikowano w osobnej rubryce; brak podpisu pod tekstem. Tekst opracował i przypisami opatrzył Łukasz Zabielski, poprawił i uzupełnił Jarosław Ławski.

I.

Niejeden może uderzył w oczy nadzwyczajnie dziwny fakt zaciągania się ukształconych specjalnych Polaków do obcej, zagranicznej służby. Zjawisko to nazywamy nadzwyczajnie dziwnym dlatego, że z pojęć, jakie wyrobiliśmy sobie o ucywilizowańszych narodach Europy, bynajmniej nie wypada, ażeby narody te takiego zasiłku od nas potrzebowały, ażeby go nawet po zniżonej cenie przyjąć raczyły. Według naszej wiedzy o stosunkach zagranicznych we Francji, Belgii, Prusach, Austrii i tak dalej, jest powszechne przeludnienie i to nie tylko względnie do ziemi, ale także odnośnie do pracy. Wystawiamy sobie bowiem, że każda jej gałąź jest tak zapchana, w każdej taki natłok uzdolnionych, że obcy przybysz o wciśnięciu się do tej masy i zdobyciu jakiegoś miejsca nawet marzyć nie powinien.

Tymczasem znowu, z drugiej strony, co chwila dochodzi nas wiadomość, że jeden Polak został asystentem w Bonn, drugi w Królewcu, trzeci w Jenie, inni znowu gdzie indziej. Zestawiając te wypadki z wiadomymi nam warunkami, nie znajdujemy w myśli ani jednej wskazówki, która by nam je objaśnić mogła. Fakt staje się jeszcze bardziej zagadkowym przez to, że nań wcale się nie składają tryumfy jakichś wyjątkowych sił i uzdolnień. Gdyby Niemcy zwerbowali Supińskiego[28] lub Wagę[29], wcale by nas to nie dziwiło, tak jak nie dziwiło nas, gdy wzięli Trentowskiego[30]; ale że chętnie przyjmują średnie, często bardzo młode i niczym wydatnie nie odznaczające się umysły – tego od razu zrozumieć niepodobna. Miałżeby u nich

[28] Józef Supiński (1804–1893) – filozof, ekonomista, publicysta, przedstawiciel polskiego nurtu ekonomii klasycznej; autor m.in. *Myśli ogólnej fizjologii powszechnej* (1860); *Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego* (t. 1–2, 1862–1865).

[29] Antoni Waga (1799–1890) – pisarz, poeta, krytyk literacki, zoolog, przyrodnik, pedagog i pijar. W trakcie licznych podróży naukowych dotarł m.in. do Egiptu, Nubii i Syrii (1862–1864), na Półwysep Iberyjski i do Algierii (1866–1867) i do Sudanu (1866–1867); autor m.in. książek: *Historia naturalna* (Warszawa 1859); *Atlas do nauki historii naturalnej... objaśniony nomenklaturą polską, łacińską i francuską* (Warszawa 1860).

[30] Bronisław Trentowski (1808–1869) – polski filozof, pedagog, publicysta, mesjanista i wolnomularz; po upadku powstania listopadowego wyemigrował do Niemiec, gdzie powstała większość jego dzieł, m.in. *Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej jako umiejętności wychowania, nauki i oświaty, słowem wykształcenia naszej młodzieży* (t. 1–2, 1842). Napisał też między innymi: *Myślini, czyli Całokształt logiki narodowej* (1844); *Wizerunki duszy narodowej z końca ostatniego stulecia* (1847); *Wiara słowiańska, czyli etyka piastująca wszechświat* (1847/1848).

być brak ludzi z wyższym ukształceniem? Niestety, tak jest. Fałszywe to i z pozoru paradoksalne w naszych ustach spostrzeżenie jest najniewątpliwszą i najwyraźniej przez samych Niemców zeznawaną prawdą.

„Już dziś okazuje się, powiada jedna z saskich gazet, wielki niedostatek sił nauczycielskich, który uniwersytetom z czasem coraz bardziej będzie się dawał uczuć". Pod natchnieniem właśnie tego niedostatku obecnie wniesiono w Berlinie projekt naznaczenia prywatdocentom[31] dostatniej pensji, ażeby tym sposobem zachęcić młodzież do wyższego nauczycielstwa, prasa zaś ze swojej strony nieustannie w tę stronę uderza. Mając tak wyraźnie skonstatowany fakt, bierze chęć poznać jego przyczyny, to jest odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego w kraju tak oświeconym, tak głęboko nasiąkłym potrzebą nauki, zbywa na jej uprawiaczach? Odpowiedź prosta: jak u nas, tak i tam, zawód naukowy materialnie procentuje późno i procentuje źle. Łudzimy się bardzo, jeśli nam się zdaje, że nauczycielskie posady za granicą są zyskowną karierą. Bynajmniej. Uczący stosunkowo do swej pracy, a przede wszystkim stosunkowo do olbrzymich trudów przygotowawczych, są tak nędznie wynagradzani, że w oczach ludzi pragnących zdobyć jak najprędzej materialnie dostateczne środki profesorstwo jest najniewdzięczniejszym i najmniej pożądanym zawodem. Przyjrzawszy się stopie płacy w całym dziale tego rodzaju służby, doprawdy niewiele wypadnie odtrącić na rachunek przesady z owego klaaderdtschowego[32] szkicu, w którym lekarz zbadawszy słabość pruskiego nauczyciela, każe mu za lekarstwo kilkodniowy głód zaspokoić. Jeżeli zaś wyższe w tej hierarchii stanowiska przynoszą znaczniejszy dochód, to ileż za to wymagają lat strasznej pracy i jakich kwalifikacji, zanim dla ubiegających się o nie dostępnymi się staną. Ten wzgląd wobec praktycznego skierowania społeczeństw niemieckich dostatecznie nam tłumaczy brak w nich ludzi z wyższym wykształceniem.

Wspomnieliśmy o praktycznym skierowaniu tej myśli, że objaw ten zbyt jest widocznym, ażeby potrzebował wielu określających go dowodzeń. Jeśli komu jeszcze błąka się po głowie idealizm poezji i filozofii niemieckiej jako odblask usposobień masy, ten raz na zawsze zgasić powinien to błędne światełko. Idealizm teoretyczny rozwija się i rządzi poza życiem, jego królestwo ogranicza się na niewielkiej gromadce głów, które są dość obszerne, ażeby mu obok najprozaiczniejszych spekulacji jakiś kącik wyznaczyć, albo też dość ciasne, ażeby się nim jedynie wyładować. Ogół narodu nie ma nic wspólnego z tą sferą podobłocznych uniesień, on jest przede wszystkim i nade wszystko praktyczny.

Ojciec wychowując syna nie myśli wcale wypakować mu mózgu ideami, ale stara się zaopatrzyć go w taką sumę wiadomości, która mu da zysk materialny najprędszy i największy. A że mu Żyd nie przeszkadza w handlu, a cudzoziemiec w przemyśle – jak to u nas ma miejsce – więc go też zwykle popycha na drogi, do

---

[31] Prywatdocent (z niem. *Privatdozent*) – termin oznaczający w krajach niemieckojęzycznych szczególną pozycję pracownika naukowego, który po uzyskaniu stopnia doktora otrzymał habilitację i wykłada na uczelni, nie będąc jednocześnie jej etatowym pracownikiem. Utrzymuje się z czesnego wnoszonego przez studentów. Instytucja prywatdocentów pojawiła się w Prusach na początku XIX stulecia.

[32] Prawdopodobnie autorowi chodzi o niemiecki rzeczownik *Kladderadatsch* oznaczający skandal, chaos. Także niemieckie pismo satyryczne ukazujące się w latach 1848–1944 w Berlinie.

których przygotowanie niewielkiego nakładu wymaga, a wielkie korzyści przynosi. Inni się temu dziwić ani tego za złe brać nie mogą. Czyż bowiem jest w tym coś nagannego, że ojciec dba o pomyślną przyszłość swego dziecka? Że widząc, iż jakieś zajęcia są zyskowniejsze od innych, do pierwszych go skłania? Żyjemy w epoce bezwzględnego panowania kapitału: pieniądz jest siłą, niepodległością i szczęściem. Żadne inne pierwiastki, żadne inne potęgi nie zdołają mu we wszystkich tych względach wyrównać. On dziś jedynie daje nam władzę nad warunkami życia, on nas spod tych warunków wyswobadza, on jedynie pozwala nam w nich istnieć i działać szczęśliwie. Dopóki więc utrzyma przy sobie te wielkie własności, dopóty będzie przedmiotem najwyższych starań człowieka, dopóty ludzie rozbiegać się będą po wszystkich drogach i chwytać wszelkie środki, aby go tylko zdobyć. Jest to kwiat paproci XIX wieku, z tą tylko różnicą, że nie bajeczny. Każdy raz tylko żyje, raz więc tylko zdarza mu się noc świętojańska, w której ów kwiat zerwać może. Nie potępiajmy go, że w poszukiwaniu tego skarbu używa sposobów wypróbowanych – inaczej bowiem by go nie znalazł. A znaleźć chce i, wreszcie, powinien.

Odrzućmy na bok sentymentalną deklamację dla użytku bliźniego i zapytajmy samych siebie, czy nie idzie nam przede wszystkim o to, ażeby pozyskać ten czarodziejski talizman, który wszystko najlepsze do siebie zwabi, najjaśniejsze promienie życia zapali? W najświetniejszym skierowaniu ludów cywilizowanego świata objawił się pewien uszlachetniony epikureizm, pewna dbałość o wyczerpywanie wszelkich dostępnych źródeł życiowego zadowolenia. Jest to objaw nie tylko naturalny, ale nawet praktycznie rozsądny. Poza obowiązkami naszych ludzkich przeznaczeń, poza sferą naszych powinności społecznych i rodzinnych, rozciąga się dla nas sfera praw do możliwego maksimum osobistej wygody i szczęścia. Bez względu na to, czy nam na ustach spoczywa kaznodziejski morał, czy sybarycki[33] uśmiech, w duchu zawsze przyznamy słuszność poglądowi, który powiada, że ze wszystkich pomysłów w układaniu życia najniedorzeczniejszym jest ascentyzm[34] i dobrowolne umartwianie się. Ci nawet, którzy namiętnie zajmują się wyrobem entuzjazmów dla uwieńczenia życiowego męczeństwa, nie chcieliby ubiegać się o tego rodzaju nimbusy[35]. Tylko dusze olbrzymie, a zatem niezmiernie wyjątkowe, mogą nie stracić na materialnym bankructwie i w zapasach z niedostatkiem wywalczyć dla siebie coś, co ich za takie bankructwo wynagrodzi. Ale te zwykłe robaki, które snując o głodzie nić jakiejś idei zamierają wreszcie w tym oprzędzie, nie zyskują dla siebie nic, a światu pozostawiają bardzo mało. Kto jakąś pożyteczną odrobinę ludzkiej pracy używa za argument zachęty do mnożenia szeregu trapistów[36], ten może być rynkowym mówcą, ale filozofem nigdy. Że ktoś, cierpiąc nę-

[33] Sybaris – miasto starożytnej Grecji, położone na wybrzeżu Lukanii nad Zatoką Tarencką, pomiędzy rzekami Kratis (Crati) i Sybaris (Coscile). Sybaryci zasłynęli tym, że wiedli dostatnie życie, folgując przyjemnościom i rozkoszom, przez co stali się symbolem rozwiązłego i hedonistycznego trybu życia.

[34] Chodzi o ascetyzm, czyli praktykowanie dobrowolnego umartwiania się, wyrzeczenia się określonych dóbr, wygód i przyjemności życiowych w celu pracy nad rozwojem duchowym.

[35] Nimbus – nimb, otaczające kogoś powszechne uznanie. Tu w znaczeniu ironicznym: „zaszczyty, których nikt nie chce".

[36] Zakon Cystersów Ściślejszej Obserwacji, potocznie: Trapiści, to zakon katolicki wywo-

dzę, okupi wreszcie jej kosztem jakąś zasługę, która wejdzie w skład ogólnej masy społecznego dorobku i nigdy tym, których żywić będzie, nawet imienia swego twórcy nie przypomni – to wcale nie pociągający przykład. Na to nie potrzeba żadnych uzdolnień i żadnych katuszy – dość swój zdrowy szkielet ofiarować po śmierci anatomicznemu gabinetowi, dość stanąć na granicy swego powiatu i nadstawić kark każdemu zbliżającemu się doń nieprzyjacielowi, dość być kapitolińską gęsią[37] pierwszej lepszej wioski zagrożonej napadem rabusiów. Gdzie tylko pewne jednostki umierają w ubóstwie za ideę, tam ogół z pewnością żyje wyłącznie dla używania. Ze stanowiska egoistycznego interesu nadzwyczaj ponętną jest teoria poświęceń – cudzych, ale ze stanowiska interesu tych, którym taką ofiarę zalecamy – jest ona szaleństwem. Bo niech odpowie zdrowy rozum, czy na przykład każdy zabijający się ubóstwem dlatego, ażeby przynieść literaturze daninę, o której ona zaledwie pamiętać będzie, nie lepiej by dla siebie zrobił, zająwszy stanowisko innej pracy, na którym mógłby być stosunkowo równie użytecznym, a daleko szczęśliwszym? Ginąć dlatego, ażeby ogółowi zostawić kilka przydatnych robót, być ostrygą, którą ten ogół pochłonie i zapomni, być pozbawionym wszelkiego egoizmu produktem strawy dla innych – taką teorię można wygłosić stojącym w szlachtuzie[38] wołom, ale nie posiadającemu prawa do osobistego szczęścia człowiekowi.

Niemiec takiej teorii nie zna – a raczej stosować jej nie chce. On zawsze stara się pogodzić interes ogółu z interesem jednostki, podejmie i spełni wszystkie obowiązki, ale pod tym warunkiem, że mu za nie społeczeństwo na jego osobistym szczęściu wynagrodzi.

Praktyczny i słuszny jego pogląd zredukowany do głównej swej zasady powiada: będę prawym i użytecznym obywatelem kraju, ale niechże ten kraj nie ciemięży mnie głodem i cierpieniami, niech mi da możność pracy, która by jemu przyniosła korzyść, a mnie zadowolenie potrzeb. Człowiek, który raz tylko żyje, nie może mówić inaczej, bo musi, i wolno mu, upomnieć się o przynależną część osobistego szczęścia. Jeśli mu więc jakiś zawód tego szczęścia nie gwarantuje, a nawet wprost odmawia, jeżeli stosunki społeczne wydziedziczyły ten lub ów rodzaj zajęć ze swej łaski, to wcale mu tego za złe brać nie należy, iż się od nich odwraca. Taką zaś upośledzoną pracą jest nauka i związane z nią nauczycielstwo. Nie słuchajmy tego, co nam zawsze gotowa do czczych uniesień deklamacja prawi, ale patrzmy w rzeczywistość, a bez wielkiego trudu przekonamy się, że niezależnie od najzaszczytniejszych pochwał w teorii nagrody względnie do wysokości pracy i jej ogólnych zysków, najmniejszą taksę oznaczyła dla nauki. Nie chcemy tu badać przyczyn takiego stanu rzeczy ani doszukiwać się przewinień, konstatujemy tylko fakt, który nie pozostawia żadnych wątpliwości. Jest bowiem rzeczą pewną, że z dwóch ludzi, z których jeden jest umysłem miernym i nierozwiniętym, drugi znakomitym i ukształconym, pierwszy, jeśli pójdzie na drogę handlową, daleko wcześniej i daleko lepiej będzie za swą pracę wynagrodzonym niż ostatni, jeśli się nauce poświęcił.

---

dzący się z opactwa cysterskiego La Trappe we Francji. W tekście zwrot „trapista" został użyty jako synonim dobrowolnego życia w ubóstwie i umartwianiu.

[37] W starożytnym Rzymie gęsi były poświęcone bogini Junonie, bowiem – według legendy – ich krzyk miał ostrzec Rzymian przed nocnym atakiem Galów około 390 roku p.n.e.

[38] Szlachtuz – rzeźnia.

Każdy z nas w otoczeniu swoim znajdzie taką parę do porównania, która mu myśl naszą potwierdzi. Wszyscy znaliśmy jakichś dwóch rówienników[39], z których jeden miernych zdolności, zdobywszy całkowicie lub cząstkowo średnią edukację, wstąpił do kantoru i już wtedy, gdy jego utalentowany towarzysz dopiero kończył swe wyższe studia, on już pobierał tak znaczną pensję, do jakiej tamten może nigdy nie doszedł. Tego rodzaju proporcja u nas przedstawia się najjaskrawiej, w mniejszym jednak lub większym stopniu istnieje wszędzie. Zastanówmyż się teraz, jaką radę da swemu synowi ojciec, który otrzymawszy od natury wielkie umysłowe siły i spotęgowawszy je długoletnią, do najwyższej skali podniesioną pracą, został tak krzywdząco wynagrodzonym? Powie mu niezawodnie: omijaj drogę, która ci nic więcej nie da nad mozół, cierpienia i czcze oklaski, skieruj się na taką, na której i ogółowi się zasłużysz, i osobiste swoje dobro znajdziesz. Podobne wskazówki, ustami doświadczenia wyrzeczone, muszą koniecznie coraz bardziej wyludniać dziedzinę pracowników nauki, która ostatecznie rekrutować ich może tylko spomiędzy tych, którzy albo siłą wewnętrzną parci skwitują życie z wszelkich innych zadowoleni i poprzestaną na duchowych, albo widząc kilku, co na tej loterii główne losy wygrali, chcą spróbować szczęścia, albo wreszcie tych, których urodzenie pozostawiło na niezależnym stanowisku. Z takiego jedynie koła może dziś nauka werbować swych kapłanów – nic więc dziwnego, że ich zastęp musi być na potrzebę za mały. Może więc naród być bardzo oświeconym, bo każda jednostka postawiona w przyjaznych warunkach będzie się kształcić i mnożyć swą wiedzę, jak mnoży wszystkie swoje siły i zasoby – i zarazem może nie mieć dość ludzi, którzy by z profesji innych oświecali. Takie właśnie położenie rzeczy jest w Niemczech i wielu innych krajach. Dbałość o zadowolenie swych osobistych potrzeb, a możliwie szczęśliwe przepędzenie życia, skierowała masy na te pola pracy, gdzie te cele najniezawodniej osiągnięte być mogą, a odwróciła od tego, na którym nie tylko w niezmiernie wyjątkowych szansach osiągnąć się dadzą. Stąd też Niemcy mają bogactwo, mają olbrzymi procent ludzi gruntownie ukształconych, jeszcze większy chcących pracować i jednocześnie mają za mało wyższych nauczycieli. Niedostatkowi temu trzeba radzić, rozum też niemiecki chwycił się środka, który go nie kosztuje ani jednej straty, a doskonale służy potrzebie, mianowicie ogłosił i rozpoczął zakup obcej inteligencji. Między innymi i nasza się znalazła, jak zaś nam się jej wywóz opłaca – zobaczymy.

II

Z założenia naszego i odnośnego doń faktu wypadałoby, że wyżej inteligencji posiadamy nad potrzeby, że więc jej nadmiar możemy innym odstępować. Wniosek taki postawiony jako teza rzeczywiście przeraża swą pozorną paradoksalnością. – Jak to, my, nieliczni, licho kształceni, mając w dziale swej oświaty miliony niespłaconych długów, my, ubożuchni duchem, sprowadzający sobie do wszystkiego mistrzów z zagranicy, mielibyśmy posiadać tylu własnych, ażeby nimi aż ową zagranicę opatrywać? To wygląda istotnie na żart, na jakieś podrobienie prawdy. Z dru-

[39] Rówienników – tu: rówieśników.

giej jednakże strony, rzeczywistość przedstawia nam takie wypadki, które zdają się w zupełności popierać to spostrzeżenie. Podobnie dziwna kolizja prostego zastanowienia z faktami życia zobowiązuje do szczegółowego jej rozbioru.

Przy dzisiejszym stanie ogólnej cywilizacji nie możemy nawet pojąć, ażeby istniał jakikolwiek naród, który by posiadał względnie do swych potrzeb za dużo ludzi naukowych. Nasz zatem, który przecież do najoświeceńszych nie należy, tym bardziej takiego nadmiaru wykazać nie może. Przeciwnie, do którejkolwiek dziedziny pracy zajrzymy, wszędzie rzuci nam się w oczy dość znaczny niedostatek wyżej ukształconych swojskich umysłów. Przemysł naczelne stanowiska powierza cudzoziemcom, edukacja liczy bardzo szczupłe grono krajowców, inżynieria i budownictwo przeładowane niemieckim elementem, literatura omdlałaby, gdyby ją obce wyroby myśli nie podtrzymywały – słowem, w każdej sferze stosunek sił rodzimych okazuje się bardzo mały. Nie mówiąc o potrzebach, jakie by się u nas z postępem ogólnego dobrobytu i wiedzy niezawodnie wytworzyły, nawet dzisiejszym summą zasobów naszej własnej inteligencji zaledwie wystarczyć byśmy mogli. Wprawdzie ostatnie lata szybkiego umysłowego rozwoju wydały bardzo obfite plony, wprawdzie zastęp ludzi mogących zająć najwyższe stanowiska, do jakich nauka powołuje, olbrzymio w tak krótkiej dobie się pomnożył, ale innym jeszcze zastępem niepodobna byłoby obdzielić wszystkich dróg naszego społecznego gospodarstwa i życia. Skądże więc pochodzi, że jednocześnie widzimy taką masę naszej inteligencji bezczynnie marnującą się lub za granicę wywożoną? Odpowiedź prosta – stąd, że z niej użytkować nie możemy. Kto zna dobrze warunki naszej publicznej pracy, ten sobie rzecz całą sam na faktach wyjaśni, my więc dotkniemy tylko tej strony kwestii, która nie naszej bezsiły – lecz nieobywatelskości i nierozumu dotyczy. Wspomnieliśmy wyżej, iż we wszystkich niemal dziedzinach znajdujemy dość znaczny procent cudzoziemców, otóż procent ten składa się z przyczyn w połowie niezależnych, ale także i w połowie zależnych od nas. Do dziś bowiem, obok swego lichego patriotyzmu, powtarzamy bezmyślnie tę na wskroś niedorzeczną maksymę, że obcy zawsze lepszy niż swój. W chwili, kiedy nasze wrodzone uzdolnienia plemienne stały się niemal pewnikiem w całej Europie, kiedy młodzież polska zdobywa pierwsze nagrody w zagranicznych instytucjach, kiedy geniusz polski jest we Francji, Niemczech, Szwajcarii przedmiotem wielkim konkurencji i pokupu – my swoje umysłowe siły cenimy na równi z siłami Kafrów[40] lub Japończyków. Straszna to doprawdy ironia i bolesny wstyd dla nas, że kiedy obcy powierzają naszym ziomkom przekopy największych w świecie tunelów i roboty najwspanialszych mostów, my swojskiemu talentowi nie dowierzamy w budowie lub kierownictwie jakiejś tam fabryczki. Wiele złego nieraz słusznie zapisywaliśmy na rachunek okoliczności, lecz ileż go odtrącić by należało na rachunek naszej własnej winy. Spytajcie się dziś jeszcze naszych poważanych za swe obywatelskie uczucia przemysłowców, jak oni szacują swojski geniusz; to zarozumiałe niedołęstwo – odpowiadają wam – to na nic nieprzydatne, do niczego niezdolne; prosty

[40] Kafrowie – nazwa nadana południowym i wschodnim ludom Bantu przez Arabów (arabski *kafir* „niewierny") w czasie wojen kolonialnych, prowadzonych przez Burów i Brytyjczyków z Zulusami i Khosa w XVIII–XIX w.

niemiecki robotnik więcej umie niż wszyscy razem w warszawskiej wszechnicy i zagranicznych szkołach wykształceni polscy naturaliści. Tymczasem ci sami, nic niewarci polscy naturaliści, którymi pogardził rozum mądrych fabrykantów ze Świętojezierskiej lub Smolnej ulicy, znajdują pomieszczenie przy niemieckich uniwersytetach lub warsztatach. Pojmujemy rację człowieka, który potrzebując zdolnego dyrektora do fabryki cukru, szuka zdolnego dyrektora do fabryki cukru, nie pytając o jego narodowość; ale nie rozumiemy tych pseudoobywateli kraju, którzy z zasady dają pierwszeństwo obcym zdolnościom. Zasada taka przed laty 30, kiedy nie mieliśmy wielu wyższych instytucji, kiedy społeczeństwo nie wychowywało przydatnych do pewnej gałęzi pracy specjalistów – mogła być sprawiedliwą, ale dziś jest chowającym się za wykręty zaślepieniem, jeśli nie brakiem obywatelskich uczuć. Bo nie może się ona obronić żadnym argumentem. Jeśli kto przypuszcza, że zagranica posiada taką obfitość wszelkiego rodzaju geniuszów, iż i nas zaopatrzyć może w każdej potrzebie lub, co gorsza, że my z niej samą śmietankę zdolności zbieramy, to istotnie nad taką naiwnością politować się trzeba. Owa bowiem zagranica, co ma istotnie utalentowanego, sama dla siebie zabiera, a tylko resztki nam odstępuje. Wyjąwszy przypadki bardzo wyjątkowe, zwykle każdy przychodzący do nas cudzoziemiec jest materialnie biedny, a umysłowo mierny. Wskutek dziwnej jakiejś plątaniny wyobrażeń zdaje nam się wprost przeciwnie, chociaż uważniejsze zastanowienie powinno by nam sprawę właściwie objaśnić. Bo pomyślmy tylko, czy jest rzeczą podobną, ażeby człowiek, który jest na tyle zamożny lub uzdolniony, że mógłby żyć w swoim kraju, wśród swoich braci, wśród warunków, do których się przyzwyczaił, w atmosferze, pod wpływami której się wychował, ażeby, mówimy, ten człowiek dobrowolnie rzucał swoją ojczyznę i na niepewne losy biegł do obcej ziemi, osiedlał się między obcym społeczeństwem, którego ani języka, ani uczuć, ani obyczajów, ani przekonań nie rozumie i którego odmienność dotkliwie czuć musi? Czy prosta logika pozwala przypuszczać, ażeby utalentowany lub bogaty Niemiec chciał się przenieść do Warszawy? Nie szczyćmy się więc zbytecznie tym zagranicznym nabytkiem, który może posiadać swoją niezaprzeczoną wartość, nigdy jednak taką, której byśmy w swojskich żywiołach nie znaleźli.

Już te uwagi rzucają światło na pozornie dziwny fakt wywozu naszej inteligencji. Dwie jej odmiany wykupuje od nas zagranica: naprzód ludzi ukształconych i zamożnych, a po wtóre wyjątkowo uzdolnionych. Obie kategorie dają jej wielkie zyski. Powiedzieliśmy poprzednio, że zawód naukowy jest we wszystkich krajach bardzo licho płatny, że zatem społeczeństwa skierowały się na drogą praktyczną, że wreszcie nauczycielstwu poświęcać się mogą tylko umysły albo silnie do tego naturą swą pociągnięte, albo należycie w materialne środki zaopatrzone. Z konieczności i jedynych, i drugich musi być bardzo mało, a względnie do potrzeb za mało. Takich dusz, które by poprzez największe trudy i niedostatki odważyły się zdobywać naukowe laury, lub też takich, które by nie uległy pokusom swej zamożności odciągającym je w inną stronę, każde społeczeństwo bardzo niewiele wydaje, a stąd zawsze potrzebuje. Dla Niemców, Francuzów, Szwajcarów – słowem, dla wszystkich niezmiernie pożądane są tego rodzaju jednostki. Jeśli bowiem zagraniczny uniwersytet ofiaruje katedrę jakiejś obcej znakomitości, zyska cały skarb jej wiedzy, jeśli zaś przyjmie cudzoziemca ze średnim uzdolnieniem, ale z nauką i zamożnością, zy-

ska jego pracę na stanowisku, którego krajowiec nie zajmie. Wiadomo, że wszelkie posady docentów i asystentów przy zagranicznych wyższych instytucjach są albo niepłatne, albo źle płatne, konkurencja więc do nich jest bardzo słaba, a stąd wakanse[41] bardzo częste. Krajowiec o nie kusić się nie będzie, bo on woli przejść na korzystniejszą przemysłową lub handlową drogę. Jeżeli więc gdzie można nabyć pragnących takie miejsca zająć, nabywa się ich najchętniej. Społeczeństwo na tym nic nie traci, gdyż nic nie wydaje, a korzysta bardzo dużo, bo naprzód dostaje darmo pracę, po wtóre kapitał. Jeśli więc z Warszawy zgłosi się jakiś młody, uniwersytecko wykształcony człowiek, dostatecznie zaopatrzony w materialne środki i tylko szukający pola do działania, to chociażby umysłowe jego zdolności nie były żadną szczególną potęgą, zawsze znajdzie za granicą chętne przyjęcie. Otóż takich ludzki jest u nas bardzo wielu i dlatego wywóz inteligencji naszej jest dość znaczny. Dlatego przy każdej niemal zagranicznej szkole znajdziemy jakiegoś przez te lub inne względy zarekomendowanego Polaka, dlatego Nencki[42] jest profesorem fizjologii w Lozannie, Olszewski[43] asystentem w Strasburgu, Strasburgier[44] profesorem w Jena, – inni w Bonn, inni w Heidelbergu, inni (jak Baudouin de Courtenay[45]) powoływani i tak dalej. – Jak zaś Niemcy gorliwie wykupują sobie znakomitości nawet z innych uniwersytetów, dowodem zwerbowanie do Berlina sławnego filologa Jagicia[46], Serba, profesora przy Uniwersytecie Odeskim, któremu ofiarowali olbrzymią pensję. Taki systemat – a dodajmy wysoce mądry – może podtrzymywać u nich

---

[41] Wakans – inaczej: wakat, wolne miejsce do obsadzenia przez kogoś; wolny etat.

[42] Chodzi zapewne o Wilhelma Marcelego Nenckiego (1847–1901), światowej sławy polskiego lekarza, chemika, fizjologa; powstańca styczniowego. Jednak od 1872 roku do 1891 roku pracował nie w Lozannie, lecz na Uniwersytecie w Bernie jako profesor chemii lekarskiej oraz bakteriologii. Ostatnie 10 lat życia spędził w Petersburgu; jego zebrane prace wydano w dwóch tomach pt. *Opera omnia* (1904).

Bratem Wilhelma Marcelego był Leon Nencki (1848–1904) – lekarz, chemik, bakteriolog, propagator higieny społecznej. W roku 1874, a więc w momencie ukazania się niniejszego numeru „Przeglądu Tygodniowego", Leon Nencki uzupełniał wykształcenie na uniwersytetach w Wiedniu, Paryżu i Londynie, do Warszawy powrócił w 1877 roku.

[43] Chodzi o Karola Olszewskiego (1846–1915), polskiego fizyka i chemika, wynalazcę kaskadowej metody skraplania gazów, który jednak w 1874 roku nie przebywał w Strasburgu, lecz Heidelbergu. W 1876 roku został mianowany profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie pracował do końca życia; kierował m.in. Katedrą Chemii Ogólnej.

[44] Edward Adolf Strasburger (1844–1912) – polsko-niemiecki botanik. Doktoraty uzyskał na uniwersytetach w Warszawie, Paryżu, Jenie (gdzie był profesorem od 1868 roku) oraz Bonn (był profesorem, dziekanem i rektorem tej uczelni). Autor m.in. książek: *Historia rozwoju zarodników u glewika: studium nad dzieleniem się komórek* (Warszawa 1880); *Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z botaniki mikroskopowej* (Warszawa 1887).

[45] Jan Niecisław Ignacy Baudouin de Courtenay (1845–1929) – jeden z najwybitniejszych polskich językoznawców; w latach 70. XIX wieku twórca szkoły kazańskiej w językoznawstwie; wprowadził termin *fonem* w znaczeniu przybliżonym do współczesnego; publicysta społeczny; autor m.in. rozpraw *O ogólnych przyczynach zmian językowych* (1891), *Próba teorii alternacji fonetycznych* (1894).

[46] Vatroslav Jagić (1838–1923) – badacz języka chorwackiego i znany slawista. Współtwórca fundamentów slawistyki historycznej i językoznawczej. Od 1874 do 1880 roku był pierwszym profesorem slawistyki na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Autor m.in. książki *Starożytności* (1869).

ogniska wyższej wiedzy, może stwarzać wielką cywilizację. My tymczasem żyć musimy jak pszczoły, którym mozolnie zapracowany miód co czas pewien obca ręka wykrawa. Słysząc tylko rozsławione po Europie ziomków imiona, otwartymi zdumieniem ustami pytamy się naokoło, skąd te gwiazdy nagle po obcym niebie się wzięły, kiedyśmy ich na swoim nigdy nie widzieli. Smutna to dola być martwym, ciągle przebieranym, obcemu użytkowi służącym produktem. Smutna to dola nie mieć swego rodzinnego ducha nawet na wyżywienie się! Ile na tym handlu naszą inteligencją tracimy, z trudnością by się obliczyć dało. To gorsze niż wywóz drzewa lub zboża do Gdańska. Nie sięgając przypuszczeniami zbyt daleko, przede wszystkim jest rzeczą niewątpliwą, że tracimy wszelkie korzyści ludzi użytecznych i korzyści ich materialnego kapitału. Niech sobie przy tym nikt nie roi, ażeby ci, którzy swą działalność przenieśli na obce pole, jednocześnie i ojczyste uprawiali. Trzeba zapomnieć o bohaterach, a pamiętać o ludziach. Człowiek nawet najlepszymi chęciami ożywiony dla narodu, którego jest synem, osiadłszy na obcym gruncie, ulega jego wpływom i pomału modyfikuje się według praw nowego otoczenia i nowej atmosfery. Niejeden warszawiak, siedząc w kraju, odczuwał wszystkie pulsa swego społeczeństwa, myślał tylko przez jego myśli i czuł przez jego uczucie; gdy jednakże później losy rzuciły go na cudzą ziemię, wrósł w nią, nasiąkł jej pierwiastkami, przerobił się pod działaniem jej własności i w końcu to, co niegdyś było dla niego pobudką, celem, sprężyną do pracy, stało się tylko miłym wprawdzie wspomnieniem, ale tylko wspomnieniem. – Zjawisko to wreszcie jest tak naturalne, że tych, którzy się nań składają, oskarżać niepodobna. Żałować jednak, i to często żałować trzeba. Strata siły, której podobnych tysiące znaleźć możemy i której usunięcie się nie stanowi w gospodarstwie społecznym żadnej różnicy, nie jest klęską, ale każdy ubytek, który by na losach myśli ogólnej choć odrobiną zaważył, jest dotkliwym uszczerbkiem. Jeśli więc ludzie, którzy swoją naukę, piśmienniczą działalność, materialne zasoby mogliby dla swego kraju zużytkować, ofiarują je obcym, to dobro ogólne ich narodu ubożeje za każdym razem o całą tych korzyści summę. Tu jeszcze dodać trzeba szczególne względy warunkujące rozwój naszej oświaty. Na całej ziemskiej kuli nauka potrzebuje wielkich, materialnych nakładów i środków. W społeczeństwach szczęśliwszych, bogatszych, dobrze uorganizowanych potrzeby te znajdują poparcie nie tylko w jednostkowych zasobach, nie tylko w mecenasostwie i osobistym mieniu, ale przede wszystkim i głównie w pomocy zbiorowej, na odpowiednich instytucjach i ulgach opartej. Ponieważ zaś nam na takiej uorganizowanej pomocy zbywa, wszelka zatem indywidualna możność służąca nauce jest skarbem. U nas ubogi historyk nie może nic zrobić, bo nie ma za co kupić książek, nie ma bibliotek, nie ma z czego żyć; naturalista, filozof, lekarz – podobnie wszyscy mogą przejść życie z najwyższymi zdolnościami i nic nie zrobić z przyczyny niedostatku. Tymczasem jeśli się znajdzie osobiście zamożny uczony, ten własnymi środkami jest w stanie brak społecznych [środków] zastąpić i użytecznie krajowi się zasłużyć. W chwili, kiedy jego bracia marnują swe talenta po rozmaitych przytułkach pracy, mając zaledwie tyle czasu i funduszu, ażeby głód opędzić i jakiś drobny artykulik napisać – on, zabezpieczony, może pracować na polu wiedzy spokojnie i pomyślnie. Pieniądz prywatny jest zawsze dla ogółu rzeczą ważną, ale ilekroć ważniejszą, gdy jest w posiadaniu ludzi mogących zeń zrobić ogólny użytek. Otóż

takich ludzi zagranica nam wywozi i takimi się bogaci. Wszyscy niemal dają jej wszystko, na co tylko zdobyć się mogą. – Polacy bowiem, przyjęci do zagranicznych instytucji, nie tylko w obcym języku uczą słowem, ale i piórem, nie tylko ofiarują to, co muszą, ale i to, co od nich dobrej chęci zależy. Stąd też w czasie, kiedy naszą inteligencją Europa jest gęsto posiana, u nas w kraju na palcach jej przedstawicieli wyliczyć by można, kiedy niemieckie *Zeitszrifty*[47] obładowane są pracami polskich uczonych, w Warszawie nie znalazłoby się dość sił dla wydawania jednego większego naukowego pisma. Co na tym traci literatura, kraj cały – pojąć łatwo.

Tu czytelnik spyta nas zapewne, co taki stan rzeczy zmienić by mogło? Odpowiemy krótko: żaden środek leżący w zakresie dziennikarskich rad i pojedynczych usiłowań. Jest to jak fatalizm nieunikniona konieczność, której tylko z boleścią przypatrywać się można, ale nic zaradzić niepodobna. Lekarstwo na nią jest ponad nami. Jeden chyba tylko punkt tej kwestii nacisnąć by się dało, mianowicie dobrowolne wywędrowanie naszej inteligencji. Rozumiemy bowiem i zupełnie usprawiedliwiamy tych, którzy to robią po prostu dla chleba, dla chęci pracy, dla celów nauki, ale trudno jest wytłumaczyć tych, którzy opuszczają kraj jedynie dla przyjemności uniwersyteckiego tytułu i dla popisu w zagranicznej literaturze. Kto czepia się jakiej katedry w Bonn lub Jena – ażeby ocalić życie, robi dobrze, bo tak robić musi, ale kto, mając środki do niezależnej pracy w kraju, przenosi nad to lichą asystenturę lub docenturę w obcej szkole, a mogąc zasilać własne, zasila obce piśmiennictwo, ten chyba obywatelskiego uczucia w sobie ognisko przygasił. Inaczej bowiem musielibyśmy zdecydować się na zasadę, że każdy, z pominięciem wszelkich społecznych obowiązków, może zrobić taki użytek ze swej osoby i pracy, jaki mu się podoba. Jeśli zaś komu taka zasada wystarcza – można go bez żalu na *wywóz* odstąpić.

Bibliografia

Dyskurs powstańczy w kulturze polskiej, red. D. Dąbrowska, Szczecin 2017.

Dzieje inteligencji polskiej do roku 1918, pod red. J. Jedlickiego, T. III: M. Micińska, *Inteligencja na rozdrożach 1864–1918*, Warszawa 2008.

Janicka A., *Tradycja i zmiana. Literackie modele dziewiętnastowieczności: pozytywizm i „obrzeża”*, Białystok 2015.

Jedlicki J., *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują*, Warszawa 1988.

Mazan B., *Pozytywizm warszawski z perspektywy mikroświatów tekstowych*, Łódź 2002.

Modzelewski W., *Naród i postęp. Problematyka narodowa w ideologii i myśli społecznej pozytywistów warszawskich*, Warszawa 1977.

Osiński D. M., *Aleksander Świętochowski w poszukiwaniu formy. Biografia myśli*, Warszawa 2011.

Rudzki J., *Aleksander Świętochowski i pozytywizm warszawski*, Warszawa 1968.

Rusek I. E., *Życia lampy niewygasłe. Studium o „Oziminie” Wacława Berenta*, Warszawa 2017.

Sandler S., *Ze studiów nad Świętochowskim*, Warszawa 1957.

Sobieraj T., *Prus versus Świętochowski. W sporze o naukowość, krytykę pozytywną i „Lalkę”*, Poznań 2008.

[47] Der Zeitschrift (niem.) – czasopismo; tu: periodyk naukowy.